

MAŁY PRZEGLĄD

pismo dzieci i młodzieży



Wychodzi co piątek rano
korespondencje i materiały
kierować należy
do redakcji
„MAŁEGO-PRZEGLĄDU”
Nowolipki 7.

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. (118 3818) „NASZEGO PRZEGLĄDU”

JESZCZE O NIESŁUSZNYM ZAKAZIE.

Ostatecznie nie jest tak źle z zakazem należenia młodzieży do klubów sportowych. Gazety donoszą, że na walnym zgromadzeniu Związku Polskich Związków Sportowych po przemówieniach delegata Rady Naukowej W. F. gen. Roupperta i dyrektora P. U. W. F. i P. W. płk. Kilińskiego, którzy bronili zakazu, przyjęto następującą uchwałę:

„Walne zgromadzenie Związków Sportowych uważa za pożądane wciągnięcie młodzieży szkolnej do klubów sportowych. Zebranie uchwała zwrócić się do władz szkolnych z prośbą o zezwolenie młodzieży szkolnej na należenie do klubów sportowych z tym, że związki sportowe uzyskają od władz szkolnych odpowiednie wytyczne i w myśl ich stworzą warunki takie, które dadzą gwarancję racjonalnego wychowania sportowego młodzieży w klubach”.

Innymi słowy, stanowisko, zajęte przez Z. P. Z. S. jest zbliżone do poglądu, który wypowiedziałem w artykule p. t. „W sprawie jednego zakazu” („Mały Przegląd” z dn. 31 marca). Pisałem wtedy o fatalnych, nie zamierzonych skutkach tego zakazu. Powtarzam: obawy, że należenie do klubów sportowych źle wpłynie na młodzież, są częściowo słuszne, dlatego nikt nie żąda całkowitego zniesienia zakazu. Chodzi tylko o to, aby ani młodzież, ani roz-

wój sportu nie były pokrzywdzone.

Prosimy o uwzględnienie naszych skromnych żądań, które dadzą się streścić w trzech punktach:

1. — założenie specjalnego klubu dla młodzieży szkolnej, bądź upoważnienie niektórych odpowiednich klubów sportowych do założenia sekcji młodzieży;

2. — opieka lekarska i odpowiedni trenerzy w klubach;

3. — zastąpienie gimnastyki szwedzkiej w szkołach przez treningi lub gimnastyczną zaprawę do treningów.

Wiem, że nasz głos mało znaczy. Prawdopodobnie pan minister Jędrzejewicz nie czytuje Małego Przeglądu i nie liczy się z nim. Jednak mam nadzieję, że młodzież w swym proteście nie będzie odosobniona. Zakazem zainteresował się cały szereg pism. Naprzykład, „Kurier Sportowy” w artykule wstępnym pisze:

„Słusznej naszej walki nie wygramy, jeżeli młodzieży nie będziemy mieli za sobą. Walkę o prawa młodzieży możemy wygrać tylko z młodzieżą”.

Już drugi raz zabieram głos w tej sprawie. Wierzę, że solidarnym wystąpieniem przy poparciu nauczycieli i dyrektorów szkół napewno zwyciężymy zwłaszcza, że chcemy rzeczy możliwych i łatwych do urzeczywistnienia.

Herszt.

ZAKAZ JEST SŁUSZNY.

Niedawno Herszt zaalarmował wszystkich sportowców, że panowie z komisji wychowania fizycznego młodzieży raz jeszcze uchwalili, że młodzież do klubów należeć nie może.

Bardzo mądra to uchwała, której Herszt bezstronnie wyjaśnić nie raczył. Idzie o to, że sport dawno już przestał być sportem w znaczeniu miłej, pozytywnej rozrywki i czynnika rozwoju fizycznego.

Sport był piękny, dopóki uprawiano go nadprogramowo, gdy nie było jeszcze klubów sportowych, treningów, rekordów. Sport był zdrowy, gdy lekkoatleta biegał poto, by biec, a bokser bił się poto, by stracić na wadze. Teraz lekkoatleta biega poto, by zrobić lepszy czas, a bokser bije się poto, żeby puścić jaknajwięcej krwi przeciwnikowi.

Wysoki kunszt i atmosfera prawdziwego sportu już dawno przeszły do zapomnianej tradycji. Dziś fanatyzm sportowy jest bolączką, której nie uleczy żaden zakaz, chociażby opatrzone pieczęcią urzędową.

Z gazet możemy się dowiedzieć, że we Lwowie, Berlinie i Nowym Jorku z ringów znośza zmiążdżonych, potłuczonych pięściarzy, że w Stryju znoszą z boiska zwłoki piłkarza, którego „przypadkowo” ko-

pnieto, że gdzieindziej znów piłkarz policzkuje kolegę po fachu, że na boisku „Skry” chuligańscy piłkarze i piłkarze biją kolegów - żydów za źle rozegraną partję, że podczas zawodów pływackich sędziego wrzucono do wody, że znakomity, lyżwiarz - hokeista został, znów „przypadkowo” ślulowany i to tak nieszczęśliwie, że rozplatanu mu głowę i t. d.

Czy te ohydne fakty nie tracą barbarzyństwem?

Rekordy — handel zawodnikami — brudne afery... Wszędzie pieniądź, wszystko poto, by wyciągnąć z człowieka jaknajwięcej siły, zručności czy szybkości i wbić go w głupia ambicje narodowa... Biedne konie jarmarczne!

Zdawałoby się mogło, że niewinna gimnastyka szwedzka nie zetknie się z wpływem rekordomanji. Nie, właśnie komisja wychowania fizycznego młodzieży powinna była zwrócić czujną uwagę na szkodliwy wpływ sportu na gimnastykę w szkołach.

Obecnie sport jest szkodliwym narkotykiem. Zwróćcie uwagę na to, co czytują sportowcy. Gdzie tylko rozmowa rozpoczyna się od literatury, schodzi na tory sportu. Wiadomo, że jeśli się mówi o Wierzyńskim, trzeba coś powiedzieć o

Gdyby na mocnych barach — TĘGA GŁOWA.

Lubię sport, ale nie wydaję mi się, aby w zdrowym ciele był zawsze zdrowy duch, i że świetnie rozwinięte mięśnie świadczą o poziomie umysłowym i inteligencji. To, że się jest półgłówkiem, nie przeszkadza bynajmniej w zdobywaniu mistrzostw i odwrotnie.

Nie chcę mówić o jakimś jednym sporcie, ale o sporcie w ogólności. Nie chcę też mówić o wpływie sportu na rozwój fizyczny, bo to są argumenty, przekonywujące najwyższe nasze babki i to pewne, że żaden, ani żadna z nas, idąc na trening nie myśli o tym, że sport posługuje nam do rozwinięcia płuc, lub wzmocnienia arterji. Więc czemuby sobie wytłumaczyć popularność, jaką cieszą się wśród nas sporty?

O ile się nie mylę, jest to zwykła, instynktowna potrzeba wyładowania energii, która krepowana surowym regulaminem szkolnym, zasadami przyzwoitości i dobrego tonu, znajduje swe ujście właśnie w sporcie. Sport jest więc nam potrzebny nie tyle dla zdrowia, ile dla wyładowania się, dla zdjęcia grzecznościowej maski, którą każdy i każda z nas nosi, choć może nie zdajemy sobie z tego sprawy. Całe nasze jestwo wychodzi nazewnątrz, gdy tylko poczujemy bieźnię, lub basen. Ambicja, skromność, opanowanie, zawiść, spryt, energia, w normalnych warunkach umiejętnie ukryte, na boisku zawsze się ukażą.

Rzadko kiedy udało się zaobserwować w rękach wybitnych (podkreślam wybitnych) sportowców inne pismo, niż „Raz, dwa, trzy...” lub „Przegląd Sportowy” i inną lekturę, jak książki brukowe. Naturalnie zrozumiałe jest interesowanie się sportem, lecz ta zachwycająca lektura niezbyt pochlebnie świadczy o poziomie jej wielbicieli. Mówię tu nie o „Przeglądzie Sportowym”, lecz o książkach brukowych.

Jestem także przeciwniczka zupełnego oddania się sportowi. Co za dużo, to niezdrowo... powiedział ktoś i nie bez racji. Słuszną jest raczej zasada humanistów włoskich:

— Dobrze jest, gdy w zdro-

„Laurze Olimpijskim” tegoż poety, wreszcie należy dodać, że ostatnia Olimpiada była w Los - Angeles i że ten czy ów mistrz biegał już, jak średniej wielkości jamnik.

Można idealizować przestępce, wierząc, że zbrodnię popełnił z pobudek szlachetnych, ale nie można potępiać zakazu, usiłującego zmazać z młodzieży piętno szkodliwego narkotyku, który jest tani i trujący, jak dzikie grzyby.

Emkott.

wem ciele mieszka zdrowy duch.

To jest zupełnie możliwe i spotykane. Oczywiście błędem byłoby mniemać, że jeśli ktoś nie uprawia żadnego sportu, to już napewno jest mądry i wykształcony.

Sportowców dzielę na trzy grupy:

1) Świetni sportmeni. Jedni z nich mają słabą głowę, drudzy są nawet dość inteligentni, ale inteligencją przeważnie wrodzoną. Pomiedzy świetnymi sportowcami nie znalazłam ani jednego świetnego ucznia.

2) Sportmeni średniej wartości. Pomiedzy tymi można znaleźć mózgownice wszystkich rodzajów.

3) Wreszcie sportmeni od siedmiu boleści. Także i tutaj można wyróżnić wszystkie stopnie rozwoju, od dzikusa do człowieka kulturalnego.

Nie chodzi oczywiście o to, aby na ślizgawce prowadzić filozoficzne dysputy, doskonale wiem, że na lodzie, zarówno jak i w całym sporcie, panuje pierwotne prawo pięści: kto silniejszy, ten lepszy. Nie myślę nikomu narzucać swego zdania, ale mam wrażenie, że o tyle, o ile to prawo nie jest dobrem, nie jest i złem.

Na treningu można być „arcybestia”, nie myśleć o sztuce i literaturze, ale to jeszcze nie dowód, ani przyczyna, by poza

treningiem nie być człowiekiem i twierdzić, że Washington wynalazł łódź podwodną, a Stephenson wyzwolił Amerykę. Nikomu nie przynosi to wiedzy, kto to jest Bocheński lub Walasiewiczówna, ale encyklopedia nawet wybitnego sportowca nie powinna się na tem kończyć. Znajomość rekordów światowych nie przeszkadza, mówiąc dobitnie, zbydlęciu umysłowemu.

Nie lubię jednak krańcowości. Zająłabym wobec sportu stanowisko zdrowego rozsądku. Nie czuję szacunku do człowieka jedynie za to, że nie miał nigdy do czynienia z wiatrem lub słońcem, ale nie wielbię też Kusocińskiego za to, że zrobił świetny czas i publikowano jego podobiznę w rozlicznych pismach sportowych i niesportowych.

O ileby to leżało w mojej mocy, stworzyłabym tym inteligentnego sportowca, któryby poza sportem interesował się nie tylko rekordami i lekturą dla moralnie upośledzonych.

Sport jest przyjemny, zdrowy, pożyteczny, ale tereny jego są bagniste i uginają się pod nogami. Kto się zbyt zanurzy, — ugrzeźnie, a przecież jesteśmy młodzi i chcemy, aby wzrok nasz sięgał poza obręb boiska.

Anerl.

KOŁO SPORTOWE „RAKIETA”

W naszej szkole od dwóch lat istnieje koło sportowe.

W młodszych oddziałach myśleliśmy, że koło sportowe to przyrząd, używany podczas gimnastyki. Kiedy byliśmy w szóstym oddziale, przyjechał nowy nauczyciel gimnastyki i założył koło sportowe. Zaczął od zwykłej pogadanki: czem jest sport i dlaczego trzeba go uprawiać. Opowiedział o pracy koła sportowego w szkole, w której uczył poprzednio.

Do naszego koła zapisało się 12 chłopców. Nie posiadaliśmy żadnych gier. Nauczyciel zaproponował składki po 50 groszy. Dziewczynki patrzyły na nas zazdrośnie. Mówiły, że nauczyciel lubi tylko chłopców, i krytkowały jego pracę. Po miesiącu, gdy sprawdzono listę składek, okazało się, że nikt nie zapłacił. Jeden z członków koła odezwał się:

— Za te pieniądze wolę kupić chleba z śledziem.

Nauczyciel rozgniewał się i rozwiązał koło. Nie pomogły żadne prośby. Minął miesiąc. Wciąż prosiliśmy i nauczyciel zgodził się na powtórne założenie koła sportowego.

Teraz mogli należeć chłopcy i dziewczynki. Wpisowe wynosiło 50 groszy, składka miesięczna 20 gr. Co wtorek od-

bywały się pogadanki i ćwiczenia.

Znów minął miesiąc. Za zbierane pieniądze kupiono siatkę. Utworzono dwie grupy — chłopców i dziewczynek. Nauka poszła prędko i po dwóch miesiącach umieliśmy już grać. Nim nadeszły wakacje, zdążyliśmy rozegrać mecze z reprezentacjami innych szkół.

W tym roku nauczyciel gimnastyki wznowił pracę koła sportowego. Na początku graliśmy tylko w siatkówkę i ćwiczyliśmy. Kierownik szkoły dał nam salę, która służy jako świetlica koła sportowego. Podczas świąt chanukowych koło nasze urządziło wieczorek.

Członkowie koła na koszulce gimnastycznej mają wyhaftowaną kokardę, na której jest wyszyta kolorowymi nićmi rakietka i piłeczka, oraz noszą niebieskie spodenki. Nauczyciel kupił stół ping-pongowy, wieże piłki, ławeczki szwedzkie i t. p. Ćwiczymy trzy razy w tygodniu. W ping-pong gramy świetnie: mamy pierwsze miejsce szkół powszechnych w Otwocku.

Mamy także gazetę ścienną p. t. „Przegląd Sportowy” (ja wydaję). Tak rozwija się praca w naszym kole sportowym. Szlamek z Otwocka.

KLUB „PŁOMIEŃ”.

Pełna nazwa tego klubu brzmi: uczniowski klub sportowy „Płomień” w Domu Sierot. Jest to poważny, stary klub, zajmujący się wychowaniem fizycznym młodzieży na terenie Domu Sierot, urządzający mecze i rorywki.

Korzystając z tego, że znam prezesa, Felka Grzyba, udałem się do Domu Sierot przy ulicy Krochmalnej na wywiad. Zostałem członkiem klubu na podwórku, gdzie trenowali się zawzięcie, bo ma się odbyć mecz między „Płomieniem” a jakimś klubem sportowym. Patrzyłem, jak pierwsza reprezentacja „Płomienia” gra z drugą, potem podeszłem do Felka i poprosiłem, aby mi opowiedział o swoim klubie.

Weszliśmy do pokoju, w którym odrabia się lekcje. Felek wyjął z szafki klubu stos bruljonów. W międzyczasie, kiedy temperowałem otówek, Felek objaśnił, że jeden bruljon — to księga kasowa, w której odnotowuje się wszystkie wydatki i przychody, w drugim bruljonie są opisane wszystkie mecze klubu, w trzecim bruljonie — statut, trzy następne księgi — to protokoły posiedzeń i t. p.

Dom Sierot stanowi dużą rodzinę, bo licząca przeszło 100 dzieci. Wszystkie sprawy, nawet najdrobniejsze, muszą być uporządkowane, a coś dopiero taka sprawa, jak rorywki dzieci. Zarząd Domu Sierot stoi na tem stanowisku, że dzieci powinny tworzyć zorganizowane społeczeństwo, więc powinny kształcić w sobie samodzielność, zarówno w pracy i nauce, jak w zgodnym współżyciu, w rozrywkach. Dlatego też zarząd przeznacza co miesiąc pewną część swego budżetu na rzecz samorządu dzieci. Z tego funduszu otrzymuje Kółko Pożytecznych Rozrywek i Klub Sportowy „Płomień”. Prócz tego klub ma fundusz z pieniędzy członków, — składka wynosi 5 groszy tygodniowo.

Kto nie może płacić, składa podanie do zarządu klubu. Ale przejdźmy do kroniki. W styczniu 1920 roku, po ośmiu latach istnienia Domu Sierot, wychowawcy spostrzegli, że źle się dzieje w małym państwie, że niema klubu sportowego. Wprawdzie już wtedy istniało Kółko Pożytecznych Rozrywek, ale ono obejmowało rorywki wogóle i nie odróżniało przedstawienia od meczu w siatkówkę. Sport zeszedł na drugie miejsce, bo Kółko Pożytecznych Rozrywek wolało zajmować się statecznymi rorywkami, jak szachy, warcaby i t. p.

Więc kilku chłopców założyło koło sportowe, z nazwą i stemplem. Nazywało się wtedy: koło sportowe młodzieży Domu Sierot.

Z początku koło było bardzo nieliczne, bo jak określono w jednym protokole „było młode i niewiadomo było, czy się uda”. Ułożono regulamin krótki i jasny: 1) — punktualność. 2) — wzorowość i spokój. 3) — obraza wzbroniona.

Kółko mając zapal założycieli i życzliwy stosunek wychowawców, rozwijało się. Było jakby sekcją Kółka Pożytecznych Rozrywek. Dostało piłkę i pieniądze na drażek do gimnastyki. W okresie największego rozwoju koło posiadało w kasie 751 marek 65 fenigów.

Dnia 20 marca 1921 roku koło rozpadło się dlatego, że wśród młodszych chłopców nikt nie mógł zastąpić przewodniczącego i członków zarządu, którzy wystąpili z Domu Sierot.

Dopiero po pięciu latach powstają dwa koła sportowe: „Płomyk” i „Płomyczek”. Były to kółka prywatne bez stempli i protokołów — jedno chłopów starszych, drugie młodszych.

Wpierw chłopcy trenowali się, grali w piłkę nożną, w siatkówkę i t. p. Później odby-

wali się mecze między „Płomyczkiem” a „Płomykiem”. Chociaż „Płomyczek” miał chłopców młodszych, zaczął zwyciężać. Bojąc się sprzeczek i wojny domowej, rząd, czyli wychowawca, namówił członków obydwóch klubów, aby się połączyli w jeden. Tak z „Płomyka” i „Płomyczka” utworzył się jeden wielki „Płomień”, złożony z 19 osób.

Po powrocie z kolonii we wrześniu 1928 roku praca poszła sprawnie. Przeglądam protokoły z tego okresu, starannie przepisane do dużej księgi. Widzę, że klub posiada już teraz niejszą nazwę, że ma ładny stemple i statut. Statut jest jasno zredagowany, przewiduje wszystkie możliwe wypadki, przedstawia cel, środki i regulamin klubu.

W owym okresie powstaje Komisja Dyscyplinarna, wybrana przez członków klubu. Zadaniem jej było załatwianie wszelkich sporów pomiędzy członkami. Klub dzieli się na szóstki, między którymi odbywała się mecze. Pierwszy występ nazewnawczy został uwieczniony w przechowanym liście do „Płomienia” M. Flumenkiera, kapitana koła sportowego uczelnio drugiego kursu seminarium nauczycielskiego. W liście tym ustala się datę zawodów w „dwa ognie”.

W roku 1929 „Płomień” przeżywa pierwsze niesnaski wewnętrzne. W protokołach znajduje trzy po sobie następujące podania o dymisję: prezesa, sekretarza i skarbnika. W grę wchodziły zatargi osobiste. Pomimo wszystko „Płomień” wciąż się rozwija. Ma już dwa rowery, jeden męski, drugi damski, łyżwy, piłki, siatki itp. Ustalono godziny, kiedy można jeździć na rowerach, ułożono regulamin dla cyklistów.

Nagle prezes Szepsel podał się do dymisji, motywując to tem, że już nikt nie dba o rozwój klubu. Następny prezes nie-

był na tyle oddany sprawie „Płomienia”, dlatego klub pomimo pozornej świetności chylił się ku upadkowi.

Były nawet projekty, aby sprzedać rowery, ale w ostatniej chwili kupujący zrezygnowali. Przejrzano i uzupełniono kodeks karny klubu. Na wakacje rozdano bluzeczki i spodnie gimnastyczne i ułożono plan, według którego szóstki mają grać z sobą.

W 1930 r. widzieliśmy w kasie „Płomienia” zaledwie 22 zł. Więc podwyższono składki do 10 groszy tygodniowo. Usunięto przewodniczącego, wybrano poprzedniego. Rowery oddano do reparacji. Opodatkowuje się cyklistów na pokrycie kosztów naprawy. Zamiast starego prawa, że na rowerze klubu nie wolno się uczyć, że mogą jeździć tylko ci, którzy umieją, wprowadzono nowe prawo, że uczyć się i jeździć mogą członkowie, o ile należą do klubu dłużej, niż dwa miesiące. Wogóle najważniejszą sprawą w tym okresie są rowery.

Trzy razy w tygodniu odbywa się w klubie gimnastyka. Więc widzimy, że klub wytrzymał z trudności i pracuje sprawnie. Nagle znów nastąpił okres upadku. Dnia 14 kwietnia

1930 roku odbywa się ostatnie posiedzenie z tego okresu.

Poraz trzeci odradza się „Płomień” na jesieni zeszłego roku. Liczy już 30 członków oraz ma inwentarz, który otrzymał z powrotem od Kółka Pożytecznych Rozrywek. Zdałem mi się, że teraz klub już da sobie radę z ciągłą zmianą członków, z tem, że co rok najstarsi, najbardziej doświadczeni członkowie, występując z Domu Sierot, ustępują miejsca młodszym.

Przeoglądam ostatni zeszyt. Są w nim opisane wszystkie ważniejsze mecze, jak naprzykład w ping-pong z drugą klasą szkoły rzemieślniczej z wynikiem 4:0 dla „Płomienia” lub w piłkę latającą ze Startem z wynikiem 44:32 dla „Płomienia”.

Mam wrażenie, że przejrzałem historię małego państwa, które przeżyło różne koleje: rewolucje, abdykacje, powstania i okresy „złotego wieku”. Widzę z jakim trudem zdobywa się umiejętność wspólnej pracy i rorywki, że zgoda i karność zbiorowa też wymaga nauki i ćwiczeń.

Edwin.

Nasz internat.

Chcemy zaznajomić czytelników z wychowanek naszego internatu.

Jest nas jedenaście dziewczynek. Starsze chodzą do szkoły, młodsze do ochronki, mieszcząc się w naszym gmachu, a do której przychodzi jeszcze 65 dzieci z miasta. Dzieci te są w ochronce od 9-iej do 3-iej. Najbardziej otrzymują śniadania, a wszystkie dzieci obiady.

Dziećmi z ochronki zajmuje się panna Mira i panna Różia.

Wśród wychowanek internatu mamy dziewczynki w różnym wieku, począwszy od 5-iu lat. Mamy trzy pięcioletnie, które opiekują się starsze.

Najstarsza z nas jest nie-

szczęśliwa, bo głuchoniema. Zdolna, zna różne roboty, rysuje, maluje i pomaga w gospodarstwie.

Założyłyśmy sąd koleżeński i na posiedzeniach omawiamy różne sprawy. Mamy dobrą gospodynię. Uczy nas porządku, pomaga w lekcjach.

Co rok urządzamy przedstawienie. W tym roku przedstawienie wypadło w pierwszy dzień świąt Pesach.

W nadziei, że ujrzymy nasz list w Małym Przeglądzie, zaślaliśmy pozdrowienia.

Wychowanki Internatu
w Włocławku.

DANIEL SZACHTMAN.

Zastrzyki nienawiści.

Oburzamy się, protestujemy, boleśnie przeżywamy. Czy jednak szukamy przyczyn i źródeł? Rok rocznie powtarzające się na jesieni „wybryki antysemityczne” endeckiej młodzieży akademickiej i potworny, haniebnny terror hitlerowski, niejednemu z nas musiały nasunąć myśl, że to ponurych wydarzeń ma wytkniętą przez kogoś trasę, że nie jest przypadkowo odruchem ciemnych, zbiedzonych mas.

Człowiek nie rodzi się antysemitą, — na antysemitę urabia się go. Najrozmaitsze partie polityczne i grupy społeczne prowadzą zażartą walkę o duszę młodzieży, bo ten, który zdobędzie młodzież, zdobywa przyszłość. Zdają sobie z tego sprawę ci, którzy się trudnią antysemityzmem.

Nie mogę grzebać się w „historycznym podłożu” antysemityzmu, ani sporządzać na dzień dzisiejszy wykazu wszystkich zjawisk natury gospodarczej, politycznej i moralnej, sprzyjających wszelkiej brutalności, a więc i antysemityzmowi. Dano mi tylko 4 strony. — ani wiersza więcej. Moge tylko podkreślić, że wśród różnych sposobów urabiania antysemitycznego młodzieży, najczęściej po-

slugują się farbą drukarską. Istnieje szereg pism żydożerczych, — postarano się o odpowiednią lekturę „artystyczną” dla młodzieży.

Nie chcę być gołosłownym. Cierpliwości. Pozwólcie mi zanalizować jedną, ale nie jedyną tego rodzaju, książkę.

Mam na myśli książkę J. Starzeńczyka p. t. „Zwycięskie lilje”, wydana przez Księgarnię Św. Wojciecha. Książka ta doczekała się dwóch wydań (poprzednio nazywała się „Harcerskie troski”).

Bohaterami książki jest garstka harcerzy, która walczy o dobro ojczyzny — z żydami. Jeden z harcerzy, Jurek, z zachwytem patrzy na przeciagającą przez rynek armię Halle-berga. Nagle spostrzega trzech ludzi, patrzących nienawistnie na żołnierzy. Byli to trzej żydzi.

To „potrójne” nienawistne spojrzenie nasuwa harcerzowi podejrzenia, więc zaczyna ich szpiegować, bo „kto armii polskiej nienawidzi, jest największym wrogiem Polski”.

Szpiegując żydów, Jurek z towarzyszymi wpadają na trop strasznej organizacji. Oto w domu modlitwy znajduje skład broni, przemycanej z Niemiec. Po wstępnych badaniach dowia-

dują się, że mają do czynienia z członkami stowarzyszenia, mającego na celu stworzenia z Polski drugiej Ziemi Obiecanej. Stowarzyszenie to ma świetnie zorganizowaną i doskonale zakonspirowaną w podziemiach armię żydowską. Podziemia są oświetlone kradzionym elektrowni prądem, a w nich — „jaszczur, gad sjoński, byk machabejski”, niosący zagładę Polsce. Wojsko machabejskie ćwiczy tak sprawnie, że harcerze są zdumieni: nie poznają w żołnierzach zahukanych Mošków. Prócz tego w podziemiach znajdują się drukarnia, drukująca tajne odezwy komunistyczne.

Harcerze spotkali się z groźną „międzynarodówką” żydowską, o której mówią:

„A przez groźnego Tuckera (prezesa Braci Czynnich „międzynarodówki”) zetknęliśmy się z wszechświatowymi dążeniami żydów, stanęliśmy na drodze ich imperialistycznego ruchu, a w w każdym razie znaleźliśmy się na drodze podboju Polski przez nich”. (Str. 246).

Albo o „międzynarodówce”:
„To Tucker i Baruch, to ludzie, którzy gdzieś w dalekim czy też bliskim świecie, w Moskwie, Paryżu, Berlinie, Wazyn-tonie, Nowym Jorku, Pekinie Rzymie — żyją, wstają, kładą się spać, mają biurka, własnych szpiegów, bezmierne kapitały, samochody, ministrowie w różnych rządach świata, awanturników, urządzających wyprawy wojenne, rewolucje strajki”. (Str. 247).

Program tej „międzynarod-

ówki” żydowskiej:

„Tutaj (w Polsce) musi Izrael policzyć się! Tutaj musi zakwitnąć jak róża Sariońska! Tutaj będą siwowłosi starcy radzili, tu dziełni młodzieńcy będą ćwiczyli ramie, tu nasze dziewczęta będą zakwitały na pociechę mężom! My stąd pójdziemy na zdobycie świata! Nasza druga Jerozolima, to Wilno Warszawa, Kraków!” (Str. 53).

Na czele całego ruchu stoi sir Izrael Tucker, doktor praw, który w Bystrzycy (miejsce, gdzie toczy się akcja) znany jest, jako tragarz rynkowy, Czarny Moszek. Robotnikiem stał się poto, aby lepiej poznać kraj i ludzi. Dalej, — Baruch, przysłany z Ameryki kierownik YMCA na Bystrzycę, były sowiecki komisarz Litwy i przysły sówkom Polski. Kierownikiem jest także szanowany i popularny w mieście przechrta Mendes-Czarski, który poto przeszedł na katolicyzm, żeby móc owocniej pracować dla organizacji. Dowódcą zakonspirowanego wojska machabejskiego jest były komendant placu w Bystrzycy, major Feldman, chorążym — Symcha-Zygmunt Heilhill, uczeń 8-iej klasy gimnazjum bystrzyckiego, kolega harcerza Jurka. Wszyscy oni są w kontakcie z żydowskim koniokrądem Schwanzfuchsem, jednym z najbardziej szanowanych obywateli miasta, z jego siostrzeńcem, Jehuda, uczniem 6-iej klasy, oraz z bandą przemysłowców i bandytów.

Chłopi, za namową Jurka, urządzili samosąd nad koniokradami. Na zebraniu bandy, gdzie omawiano tę sprawę, Symcha nazywa to niesprawiedliwością, wygłasza agitacyjną, komunistyczną mowę, nawołując do rewolucji.

Najgorsze dla harcerzy, że nawet do władz nie można się zwrócić z tem chociażby, że żydzi mają broń w bóżnicy, bo:

„Komendantem policji jest człowiek dobry, ale safandula małacy zaufanego żyda sekretarza, bez którego nic się nie działo, a komendantem miasta jest żyd, były oficer austriacki” (Str. 23). A zresztą: „przecież liberalny rząd obecny mógł w szeroko pojętem zastosowaniu praw dla mniejszości pozwolić na milicję żydowską”. (Str. 28).

A w samej policji:
„Ten Falans (oczywiście żyd), ten polski komisarz policji, — co za hanba dwa lata temu był szpiegiem oruskim. On wskazał kapralowi tu, w tym ganku, nasze zapasy, bo zabraniamy których był głód... To on nas wydał!” (Str. 159).

O policji wyrażają się nieliczni w niej pelacy:

„Pisa służba! Żebym ja z takimi żydami musiał mieć katolickie kościelne mieszkanie! Nie-toczkanie wasze, ja tam nie umre w katolickim kraju bez tej ich nieszki, a poczekam sobie, aż w policji będzie polski rząd, a nie takie Fajansy!” (Str. 160).

Dlatego właśnie sprawa żydowskiego koniokrada Schwanzfuchsa może fatalnie skończyć się dla chłopów, bo:

„Pan Landau (żyd wice-komisarz policji) i pan Falans zwol-

POD ZNAKIEM BOJKOTU. Marsylja — Paryż — Gdańsk.

Wychodzę na spacer. Już po okresie, stopnie mam dobre, nieco forsę w kieszeni i błogość na duszy. Wydymam brzuch, pompuję policzki i z powagą spaceruję do Saskiego. Spotykam kolegę. Idziemy razem. Zegniam się, idę dalej.

Widzę, jak do kioska podchodzi chłopak w moim wieku. Prosi o „Sportzeitung“. Kobieta szuka, a chłopak ogląda gazetę.

— Co to za gazeta? — pyta wkońcu.

— To widzisz, chłopcze, jest zagraniczna gazeta „die Woche“.

— Czy niemiecka?

— Tak.

— W takim razie dowidzenia. Gdzie jest niemieckie, tam nie nie kupuje, — i odchodzi.

Kobieta wybałusza oczy ze zdziwienia i patrzy za odchodzącym, dopóki nie znika jej z oczu.

Idę dalej. Stoi tu wózek z zeszytami, ołówkami, gumami, stalówkami i t. d. Biore stalówkę i chce wyjąć pieniądze, gdy z tyłu jakaś ręka opada mi na ramię. Odwracam się. Przede mną stoi nieznajomy chłopak z olbrzymią czupryną i jasnymi oczami.

— Kolego, to niemieckie! — mówi.

Rzeczywiście, na stalówkach napisane jest — Berlin. Powoli odkładam stalówkę i ruszam dalej.

— — — — —

Biegne do Emka. Dzisiaj usłyszałem, jak pan mówił do chłopców, żeby bojkotowali niemieckie towary. Hitlerowcy nie będą mieli z czego utrzymać swoich bojówek. Bez bojówek — terror niemożliwy. — mówił. Zrana, może o godzinie szóstej, widziałem, jak chłopak nalepiał plakaty z napisem: „Precz z barbarzyńskim terorem hitlerowców“, i „bojkotuj towary niemieckie“. Dzielnym chłopak. Ktoś sporządził dla uczniów spis materiałów pis-

miennych, które trzeba bojkotować, gdyż są niemieckie. Widziałem kopje spisu. W szkole chłopcy napisali na ścianie korytarza:

— Precz z Hitlerem!

Jestem u Emka. Ojciec jego podaje mi do przejrzania najnowsze „das Magazin“. Odkładam je na stół.

— Nie ciekawi to kawalera? — Niemieckich rzeczy nie przeglądam — mówię z dumą.

— Ho ho, z kawalera taki patriota...

Czuję lekką ironię. Biore czapkę.

— Dowidzenia!

— Dowidzenia!

— — — — —

Pani kazała kupić specjalne szczyryki. Część klasy idzie do pewnego sklepu.

— Prosimy o szczyryki.

Pan w wielkich okularach podaje nam szczyryki.

— Solingen, — czytamy głośno napis na szczyryku.

— Czy pan nie ma innych?

— Nie. A poco kawalerowi inny? Ten niedobry?

— Solingen, to niemiecka firma — odpowiadam.

Wreszcie dostaliśmy w innym sklepie szczyryki z napisem „Ceskosloveńska“.

Dziś miałem kupić farby.

Większość tańszych — to niemieckie. Trudno, wydaję jeszcze 15 groszy i kupuję Leszczyńskiego.

Mama idzie kupić bluzę. Bardzo dużo bluz jest niemieckich. Sam mam dwie. Ostrzegam mamę. Znalazłem karteczkę:

„Bojkotuj, bojkotuj w miarę sił,

Nie będzie Hitler z naszej „potęgi“ drwił“.

Jestem ciekaw, czy bojkot przyniesie jakieś wyniki. Może wyda to się śmieszne, gdy powiem, że młodzież więcej bojkotuje towary niemieckie, niż starsi. Dałem kilka przykładow. Tylko kilka, lecz jest ich wiele, wiele...

Salek z S-to Jerskiej.

ROZDANIE NAGRÓD.

Nadszedł czas rozdawania nagród. Do klasy przyniesiono wielką plikę książek. Nauczycielka wywołała wszystkie dziewczynki, poczynawszy od najlepszej, kończąc na najgorszej, i każda wybrała sobie książkę. Do książki włożono kartkę z nazwiskiem uczennicy, poczem woźny wyniósł książki na salę.

Po tygodniu, w ostatnim dniu roku szkolnego, kazano nam przyjść bez teczek. Usiadłyśmy na krzesłach w dużej sali.

Na okrągłej estradzie, pokrytej czerwonym dywanem, stał stół z krzesłami, na których zasiedli członkowie kuratorium. Przyszedł nawet pan kurator Paryża. Przy ścianie stały dwie iedwabne trzykolorowe chorągwie, ozdobione dwiema purpurowymi literami: „R. F.“ (Republika Francuska).

Estradę otaczały dziewczynki, trzymające koszyczki, napełnione słodyczkami i owocami.

Po lewej stronie siedzieli chłopcy, po prawej dziewczynki. Nasza szkoła nie była koadunkacyjną, ale w jednym gmachu mieściły się dwie szkoły: żeńska i męska, i miały wspólną salę.

Przed kuratorem postawiono stos książek. Gdy nauczycielka wywoływała nazwisko ucznia lub uczennicy, ci przystępowali do kuratora, który podawał im nagrodę, całując dziewczynki, i ściskając chłopcom ręce. Potem wywołani podchodzili do każdej dziewczynki z koszykami i brali sobie „quelque chose de bon“, poczem zawstydzeni, albo zadowoleni wracali na swe miejsca.

14 LIPCA.

—Dziś czternasty lipca, — rocznica zdobycia Bastylji!

Ten okrzyk z ulicy wzbudził moją ciekawość. Wyrzuciłam oknem. Na wszystkich dachach powiewały chorągwie.

Balkony ozdobione były kwieciami, a na ulicy od samego rana orkiestra grała wesołe tańce. Każdy przechodzień obejmował jakąś panienkę, tańczył z nią, całowali się, poczem dążyli w swoją stronę, aby na następnym rogu znów przystanąć i zatańczyć. Naturalnie dzieci szły za przykładem dorosłych.

Po śniadaniu mamusia pozwoliła mi wyjść z przyjaciółką Nina. Poszłyśmy do cukierni, gdzie tego dnia urządzono teatr marionetek. Najpierw kukielka Polichinelle pokazywał wesołe sztuki, a potem zapytał:

— Kto z was wie, co dziś właściwie za święto?

— Radosne! — krzyknął ktoś z tłumu.

Ktoś siedzący blisko sceny, polecił Polichinelle'a trawka po nosie. Ten korzystając z okazji, kichnął dziesięć razy, wreszcie zaczął gadać. Wykladał nam, jak naród francuski był w niewoli u złego króla, jak pakowano wszystkich do więzienia, o podatkach i niesprawiedliwościach, aż wybuchła rewolucja, zabito króla, zdobyto Bastylję, więzienie, gdzie byli wszyscy więźniowie polityczni, i spalono pałac królewski. Wtedy naród stał się wolny...

Abw było wesele, Polichinelle przeplatał swoje opowiadanie komicznymi uwagami. Pod koniec wyszedł djabel i zaczął śpiewać:

„Allons enfants de la patrie, le jour de gloire est arrive...“

Cały dzień spędziłyśmy bardzo wesoło. Wieczorem puszczano rakiety. Zabawa wrzała do późnej nocy.

DO GDANSKA.

— Dokąd jedziemy? — zapytałam mamusię.

— Do Gdańska. Ale najpierw do Lyonu. Mam tam parę spraw do załatwienia.

— Tatusz już tam jest?

— Nie, przecież tatuś wyje-

chał do Islandji, więc jakże możesz go spotkać w Lyonie.

— Ach, prawda, przecież tatuś w Islandji.

Byłam zła na siebie, że pomieszalam Islandję z Lyonem. Chciałam przypomnieć sobie wiadomości z geografji, lecz przypomnielo mi sie tylko, że Islandja to wyspa, a Lyon..... Zapomniałam. W końcu oparłam głowę o ścianę i zasnęłam. Obudziła mnie mamusia mówiąc, że za chwile wysiadamy. Włożyłam palto i wyrzuciłam oknem.

— Paryż! — wyrwało mi się mimowoli.

— Głupluka — zaśmiała się mamusia. — To przecież Lyon.

— Ależ skąd! Niech mamusia spojrzy: oto Sekwana, most, Tullerje, a nawet tam zdaje się katedra Notre Dame.

Mamusia wytłumaczyła mi, że to nie Sekwana, a Rodan, nie Tuileje, a park.

Wtem przypomniłam sobie to, czego uczyłam się w szkole: „Lyon leży nad Rodanem, jest jednym z głównych miast francuskich, „stolica“ wyrobu iedwabiu we Francji“ itd.

Mamusia ulokowała nas w innym pociągu, który jechał już bezpośrednio do Gdańska, poczem wyszła, zostawiając mnie i brata w towarzystwie bardzo sympatycznego, francuskiego oficera. Przez cały czas jej nieobecności nie miałam spokoju, obawiałam się, że pociąg ruszy, nim mamusia wróci. Nasz towarzysz śmiał się z tego, mówiąc, że „pociąg na mamusię zaczeka“.

Jednak odetchnęłam z ulgą, gdy mamusia wróciła.

Podróż byłaby bardzo miła, gdyby konduktor nie przytrzymał drzwiami mego palca. Od tego wypadku bałam się wszystkiego, co się otwiera i nie otwierałam okna, nie wyrzucałam jak przedtem kolorów.

(Dokończenie na str. następn.)

nia Schwanzfuchsa, a zaarrestują chłopów za rozbój, za samosad, a nawet za ukradzenie żydowskich krażonych koni... Zanim się cobadź wyjaśni Schwanzfuchs wyładzie do wód na kurację. Jehudę zwolnia, aby nie psuć mu kariery, innych zwolnia dla braku dowodów, bo chłopcy nie mogą w swej sprawie świadczyć a zato zgnola chłopów w więzieniu za rozbój na poważnym i powszechnie szanowanym obywatelu kraju“ (Str. 270—271).

Widzimy więc, że niema do kogo się odwołać, że żydzi wszędzie mają swoich agentów i pracowników, którzy mogą udaremnić wszelką akcję przeciwko żydom. Co żyd — to zło dziej, wywrotowiec, bandyta, przemytnik. Należy ich śledzić i tropić. Każdy z nich prowadzi podwójne życie. Nie wierz koledze — żydowi, bo oto kolega Jurka, Zigmunt Heihill, zna dokładne dysputy, a w rzeczywistości jest chorążym zakonspirowanego wojska sjońskiego.

według niego:

„My mamy naszych starszych, żeby strzelać ich mądrości. A goście mają nas, żeby się nauczyli że ich starszych słuchać — to wstyd“ (Str. 137).

Najbardziej niebezpiecznym jest Tucker, ale jednocześnie jest on najstraszniejszym, najgroźniejszym wrogiem Polski. Jest bowiem prezesem Braci Czynnich. Nawet ksiądz mówi do Jurka o tej organizacji:

„Wiesz ci tembardziej że już i od innych o tem słyszałem, ale nikt nie dostał takiej łaski Boga aby był świadkiem tych zbrodniczych działań. Wv macie możność dopomóc do wykrycia

złego już u jego źródła choć co prawda nie tu jest źródło tego zła... Kryje się ono gdzieś w tym rozległym, pięknym, a jednak strasznym świecie. Może w Londynie, może w Nowym Jorku, a może w Konstantynopolu lub Berlinie. Najprawdopodobniej ma ono wszędzie i potrosze swoich działaczy... Legion Ciemności... To są książęta tego świata słudzy Mamona“ (Str. 145—146).

Więc harcerze z powieści Starzeńczyka walczą. Jakimi środkami? — Cel uśwleca środki. Sam fakt, że jacyś ludzie, żydzi „patrzyli krzywo“ na de filade, pozwala im szpiegować.

Mało tego, przywłaszczają cudze dobra. Pomijając to, że „konfiskują“ broń, mamy do czynienia z jawną kradzieżą.

Jurek kradnie torbę z brylantami, którą zostawili na poluam straszeni przemytnicy i żeby być w porządku z moralnością, oddaje ją klasztorowi czyli kradzione wspaniałomyślnie daruje.

Mamy drugą kradzież: gdy przebrani chłopcy uciekają z gospody „Pod Szpakiem“, gdzie z narażeniem życia podsluchiwali przemytników, spotykają nad rzeką żydów, wsia-

dających do łodzi z towarami. Chłopcy wyrzucają żydów i odbierają im łódź. Odrazu orzekają, że złodziejska, z kradzieży. Nie wiedzą nawet, kto kradł komu, — wystarczy, że należą do żydów. I znów oddają łódź klasztorowi chcąc zma-

nić winę.

Kończąc po różnych przejściach „sprawiedliwości staje się zadość“. Nowy komen-

dant policji, młody polak Korba, nienawidzący żydów, urządza przy pomocy chłopców generalną obławę i likwiduje wszystkie organizacje żydowskie. Występuje przeciwko temu inteligencja żydowska, w osobie Hirszbauma, który jest bardzo kulturalny, nie ma nic wspólnego z ghettem, jak mówi; cytując Mickiewicza i „coś tam nawet napisał dla polaków z historii“.

Woła on:

„Wy, polacy, przed światem za to odpowiecie! Gwałt na niewinnych. Wiec cóż? Czy żydzi nie mają prawa żyć?“ (Str. 447).

Tak w pojęciu autora inteligencja żydowska „urabia opinię“, nazywając obławę na bandytów pogromem. Jeszcze jeden dowód, że nawet najbardziej kulturalnemu żydowi wierzyć nie można.

Dlatego też według autora walka nie jest skończona. Dopiero wtedy:

„Jak ostatniego żyda zabraknie na świecie, — to się skończy wojna z Polską“ (Str. 471).

— Co może powiedzieć uczeń, chłopiec chrześcijański, po przeczytaniu takiej książki?

Zaznaczam, że nie mówię o żadnych metach i wyrzutekach społeczeństwa, — mam na myśli przeciętnego, dobrze wychowanego, uczciwego ucznia.

Jasnym stało się dla niego, że to, co jest w ten sposób do wiadomości publicznej podawane musi być prawda, bo in-

aczej byłoby skonfiskowane, jeżeli zaś jest prawda, należy

walczyć tak samo, jak Jurek i jego towarzysze.

Łgarz wytrawny tem się różni od naiwnego kłamczucha - amatora, że wie, kiedy i jak można popuścić cugle; nlm rzuci oszczerstwo lub plotkę, sprawdzi, czy któryś z współbiedniaków nie był świadkiem wydarzenia, o którym mówi, czy nie zna bliżej danej osoby.

Starzeńczyk też, dobrze wiedzając o tem, że dwa społeczeństwa pracują na jednej ziemi, oddzielone od siebie niewidzialnym murem. Nie pozwoliłyby sobie w obawie przed wyzwaniem ze strony harcerzy na dziesiątą część przytoczonych wyżej oszczerstw, gdyby wiedział, przypuścimy, że istnieje współpraca skautingu polskiego z żydowskim, że obozy szomrów są odwiedzane przez drużyny harcerskie i t. p. Jeśli natomiast sam wyraz „szomrzy“ jest dla ucznia polskiego nieznanym lub tajemniczym, jeśli tak mało istnieje wspólnych organizacji młodzieży żydowskiej i polskiej, — o, wtedy można popuścić cugle zwyrodniałej fantazji, i bruzdzić, i jątrzyć, i szuć!

Gdy młodzież, wychowywana przez Starzeńczyka i jemu podobnych, dostaje się do wyższych uczelni, chce nareszcie przysłużyć się ojczyźnie. Wtedy staje się rzecz dziwna: oto policja z rozkazu tych samych ludzi, którzy tolerują podobne

książki, wyrusza naprzeciw demonstrantów, nie pozwala bić żydów, nawet rozzania i arestuje walczących o „słuszną“ sprawę.

Czy nie lepiej byłoby zamiast tłumić ekscesy, zapobiegać im?

Konstytucja gwarantuje równouprawnienie i swobodny rozwój dla wszystkich narodowości Rzeczypospolitej. Artykuł 170 Kodeksu Karnego przewiduje karę aresztu do lat 2 za „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, mogących wywołać niepokój publiczny“; art. 152 głosi: „Kto publicznie lży lub wyszydza (ustnie, piśmennie lub drukiem) Naród czy Państwo Polskie podlega karze więzienia do lat trzech“, przy-

czem komentarz wyjaśnia, że pejęcie Narodu obejmuje wszystkich obywateli Rzeczypospolitej bez różnicy wyznania.

W imię ochrony zdrowia publicznego, zabroniono osobom niepowołanym wykonywania praktyki lekarskiej. Lecz wbrew Konstytucji i artykulom Kodeksu Karnego najrozmaitsi znachorzy z pod znaku św. Chama piszą dla młodzieży recepty na blankiecie bogoo-

czyźnianym i tak długo zastrzykują małemi dawkami jad nie-uawności, aż opętany szalem tłum wyrusza na ulicę.

Akcja zapobiegawcza, — oto zadanie zarówno prokuratury, jak kulturalnego społeczeń-

stwa.

wych papierków, które długo wirowały w powietrzu, zwolna opadając na ziemię.

GDZIE WOLAŁAM MYĆ PODŁOGI.

Od granicy niemieckiej nie mogłam już rozmawiać z pasażerami: nie umiałam po niemiecku.

W Gdańsku, ku wielkiemu zdziwieniu rodziców, którzy oczekiwali odemnie radosnego uśmiechu po odbytej podróży, spuściłam głowę i milczałam. Na pytanie mamusi, dlaczego jestem smutna, krzyknęłam ze złością:

— Tu ja mam mieszkać? W tem małym miasteczku? Nie, nie, dajcie mi na podróż, a pojedę z powrotem do Paryża. Wolę myć w Paryżu podłogi, niż być tutaj królową.

Podłóg nie szorowałam, ani nie zostałam królową, ale czułam się strasznie nieszczęśliwa. Całymi dniami siedziałam przy biurku i pisałam listy do koleżanek w Paryżu. Wkrótce znalazłam ciekawsze zajęcie: zaczęłam obserwować ludzi, zwłaszcza naszą gospodynię.

Była to kobieta lat czterdziestu, o małych, okrągłych niebieskich oczach i rzadkich, ciemno-blond włosach, przyliżanych i upiętych z tyłu w grek. Nos miała prosty, na nosie binokle, twarz chuda, bardzo mała, a sama była tęga. Skapstwo jej (karykatura oszczędności miejskiej) dochodziło do wielkich rozmiarów. Naprzykład w szafie stał serwis porcelanowy, a ona jadła z połamanymi półmisków; gdy rodzice wychodzili i zostawiali nas samych wchodziła do pokoju i gasiła światło. Jedną cechą miała obcą niemkom: była bardzo brudna.

Niedługo mieszkaliśmy u niej. Tatusz kupił mieszkanie przy ulicy Grenadiergasse. Jest to niedaleko ruin dawnych fortec. Te pagórki stanowiły miejsce naszych zabaw na świeżym powietrzu.

Po miesiącu poszłam do szkoły, której opisywać nie będę, gdyż niewiele różni się od szkół polskich. Opowiem tylko dwa wydarzenia.

INGEBORG.

W Paryżu byłam już w czwartym oddziale, w Gdańsku musiałam rozpocząć naukę od początku, gdyż po niemiecku mogłam powiedzieć z wielkim trudem tylko jedno zdanie:

„Ich kann nicht deutsch sprechen“.

Znów byłam w szkole niemieckiej. Dziewczynki bawiły się mną, jak żywą lalką i nazywały, jak im się podobało, kłóciły się nawet o to, która da mi najładniejsze imię. W końcu uznały, że nie mogę mieć 36 imion. Urządzono zebranie, na którym po długich naradach postanowiono dać mi imię Ingeborg, w skróceniu Inge.

Później, gdy mogłam wytlumaczyć, że nazywam się Czesia, nie chciały mi wierzyć, zresztą mówiły, że „Inge“ łatwiej wymówić, niż „Czesia“.

PRZYJACIEL.

Tyłu miałam nauczycieli francuzów, Niemców i Polaków, ale pana R. pamiętać będę zawsze. Był to człowiek pełen dobroci i wyrozumienia, dorosły, którego naprawdę lubiłam i szanowałam.

W pierwszym półroczu lubiłam go jedynie dlatego, że był miły i sympatyczny. Później stałam się wyjątkiem. Ale moje przywileje polegały nie na tem, że dostawałam dobre stopnie, albo, że mogłam skarżyć na koleżanki. Odwrotnie,

pan R. wymagał ode mnie więcej, niż od innych uczennic, gdyż uważał mnie za zdolniejszą. Różniłam się od wszystkich jedynie tem, że byłam dysypliną nie na tydzień, ale na całe drugie półrocze. Byłam bardzo śmiała w stosunku do naszego wychowawcy, rozmawiałam z nim, jak z kolegą, nie raz nawet żartowałam.

To wszystko nie wzbudziło by jednak we mnie takiego szacunku i ufności, gdyby nie jedno zdarzenie. Pewnego dnia dziewczynki zdenerwowały mnie do takiego stopnia, że rozplakałam się. Wtedy wszystkie umilkły, tylko jedna rozesmiała się głośno. W uniesieniu krzyknęłam:

— Ty żebraczko obrzydliwa! W tej właśnie chwili wszedł wychowawca.

Zmarszczył brwi, ale wnet twarz jego znów się rozpozodziła i pod koniec lekcji zdawał się nie pamiętać już o niczem. Jednak po ostatniej lekcji, gdy wszystkie dziewczynki rozeszły się do domów, a ja zostałam sama aby uporządkować klasę, wszedł wychowawca, i rozmawiał ze mną długo i poważnie. Powiedział mi wtedy wiele rzeczy, które dopiero teraz dobrze rozumiem. Nie mówił do mnie pieszczotliwie, jak inni dorośli, trzymał tylko moją rękę, a jednak czułam się tak uspokojona. Widziałam, że ten człowiek ma w sobie coś więcej, niż inni.

Od tego czasu zwierzałam mu się z wszystkiego. Nigdy nie prawil mi morałów, ani nie słuchał obojętnie.

Później, gdy opuściłam tę szkołę i poszłam do gimnazjum, często odwiedzałam mego dawnego wychowawcę. Witał mnie zawsze serdecznym uśmiechem i przyjacielskim uściskiem dłoni. Tak, to był mój jedyny „duży przyjaciel“.

C z e s i a.

Zwierzyniec w Paryżu.

Pewnej niedzieli poszłam z rodzicami do zwierzynicy.

Weszliśmy do dużego ogrodu. Na samym froncie zauważyłam budynek. Myślałam, że to cieplarnia, ale okazało się, że to jest budynek dla ptaków z ciepłych krajów. Pośród palm i roślin znajdował się staw. Na wodzie pływały łabędzie, na lądzie stały jakieś nieznanne ptaki, trochę podobne do bocianów. Miały długie dzioby, jasno - różowe pióra i czerwone nogi. Te ptaki są bardzo dziwne. Potrafią tak schować jedną nogę, że wcale jej nie widać. Stoją też prawie zawsze na jednej nodze. Szukaliśmy napisu, żeby się dowiedzieć, co to za ptak, ale nigdzie nie było.

Dalej widzieliśmy ptaki szaro - białe na wysokich nogach, o dużym dziobie. Pamiętałam, że gdzieś takiego ptaka widziałam, aż mamusia powiedziała, że to struś.

Poszliśmy dalej. Zdaleka usłyszeliśmy piski małych. Dokażywały i zresztą łapały orzechy.

Potem znów były ptaki. Takich pięknych papug, jak tu, jeszcze nigdy nie widziałam. Śliczne były ptaki chińskie, całe zielone, z białym lub czerwonym dziobem. Były też słowiki cesarza chińskiego, jak w bajce „Słowik“.

A teraz o białych niedźwiedziach: niektóre bawiły się wesoło w wodzie, inne chodziły naokoło brzegu, jakby nie wiedziały dokąd iść.

Zdziwiły mnie bardzo lwy. Przecież w Warszawie także widziałam lwy, ale tam były w klatkach, a tu są sztuczne skały i kawałek ziemi, gdzie lwy się przechadzają. Za nimi jest przepaść, napełniona wodą, a potem barjera, za którą ja stałam. Lwy strasznie ryczały.

Następnie poszłam do słoń. Nie było tu Kasi i Jasia, ale pięć dużych słoń. Dozorca kłasnął w ręce i na ten znak jeden

słoń położył nogi na grzbiecie drugiego, drugi na trzecim, a potem wszystkie słoń upadły na ziemię. Najmłodszy słoń nastawił trąbę. Niektórzy wkładali mu bułkę, albo pieniądze. Pieniądże oddawał dozorca, a jedenie polykał.

Byłam już zmęczona chodzeniem po ogrodzie, więc usiadłam nad stawem i wszystko, co tu widziałam, napisałam do Małego Przeglądu.

Halina z Paryża.

XVII popis „Makabi“.

Co rok oglądam wynik żmudnej, całorocznej pracy „Makabi“ na polu wychowania fizycznego dzieci i młodzieży.

XVI popis gimnastyczny tego towarzystwa przyjęto już, jako tradycyjne święto sportu żydowskiego. Sala „Alhambry“ była przepiękna. Gdy ukazała się defilada pięćdziesięciu zawodników i zawodniczek w ślicznych, biało-niebieskich kostjumach, na sali odczuło się skupienie, jak zwykle w chwilach uroczystych. Widziało się: oto elastycznym, pewnym krokiem wychodzą z ciasnego ghetta dzieci i młodzież.

Pod dźwięki doskonałej orkiestry wykonywano przeróżne ćwiczenia gimnastyczne. Najmilsze wrażenie wywarły ćwiczenia i zabawy dzieci. Najmłodszy zawodnicy, znajdując się poraz pierwszy na scenie, czuli się tak swobodnie, tak pewni siebie, że mimowoli uśmiechano się do nich. Może tę prostotę i bezpośredniość dała

im praca w zespołach, a może widzieli zyczliwość publiczności.

Z kolei nastąpiły ćwiczenia biało-niebieskimi szalami, potem maczugami, ćwiczenia na poręczach oraz korowody. Z pośród instruktorów wyróżnił się p. Mirkowicz, z zawodników p. p. Grinberg i Młynek.

Ostatnią część programu stanowiły obrazki z Erec. Przedstawiono prace na roli winobranie, wreszcie odtajniono horę. Dekoracje (krajobraz palestyński) były piękne.

Na zakończenie zawodnicy utworzyli oryginalną piramidę, potem z przewodnikiem popisu d-rem A. Graberem na czele przemarszerowali przez scenę. Po odegraniu „Jeszcze Polska“ i „Hatykwy“ publiczność, jakgdyby życząc dobrej drogi, żegnała zawodników, — swą nadzieję i przednią straż — pokolenie nowych, silnych ludzi.

Eljasz S.

„Skippy“



Niech żyje Ameryka! Tylko ona o nas nie zapomniła i po nudnych, jak rycyna z olejem romansach dała szereg dobrych filmów o młodzieży dla młodzieży. Pamiętamy dobrze „Przygody Tomka Sawyer“, „Zakazaną przygodę“, „Czempak“ i „Donovana“, a teraz znów mamy dobry film „Skippy“.

Przez dwa lata film ten leżał w Warszawie. Żadne kino nie chciało go wyświetlać w obawie przed pustą widownią. Właściciele kin znają swoją publiczność, wiedzą, że dorosłych i młodzież odstrasza teraz napis: „dla młodzieży dozwolone“. Dopiero po powodzeniu „Czempaka“ i „Donovana“ odważono się na wystawienie „Skippy“ tembardziej, że gra w nim ten sam Jackie Cooper.

Żle napisaliśmy: Cooper nie gra — on przeżywa. Kto pamięta Coogana i porówna go z Cooperem, przekona się, że Cooper przerosł go swym talentem. Ten chłopak jest wielkim artystą. Inni artyści tego filmu są dość przeciętni, chociaż niekiedy wybijają się 5-letni Robert Coogan, brat sławnego

Jackie Coogana. Reżyser tego filmu jest albo doskonałym wychowawcą albo bardzo młodym, inaczej nie mógłby się tak wczuć w życie dzieci.

„Skippy“ — to historia dziecka o złotym sercu. Nie bójcie się: nie jest maminsynek, idealnie grzeczne dziecko, o którym opowiadają nianki. Czasem jest nieposłuszny, nawet oszukuje rodziców, ale wszystko dlatego, że chce pomóc swemu biednemu koledze. Na szczęście rodzice zdołali zrozumieć swe dziecko, i dzięki temu uratowano setki biednych ludzi, którzy mieli być wysiedleni z swoich mieszkań.

Czy film jest świetny, możecie sami się przekonać. Co do nas, przesiedzieliśmy dwa seanse.

Aneri i Efraim.

ŻARTY.

ALETYKA I SPORT.

— Czy wiesz, że Kusociński, przebiegłszy pięć kilometrów w rekordowym czasie, już po przerwaniu taśmy skoczył jeszcze na dobre półtora metra w górę...

— Wielka sztuka, z takiego rozgednu...

ZAGADNIENIE HANDLOWE. Dziewczynka wchodzi rano do sypialni matki, która w nocy właśnie urodziła bliźnięta. Przygląda się dzieciom przez dłuższy czas, wreszcie pyta:

— Mamusiu, czy te bliźniaki są przyslane do wyboru, czy musimy zatrzymać obu.

SILNY CHARAKTER.

— Tatusiu, niech tatusz nie mówi, że na mamy urodziny kupiłem jej pudełko czekoladek...

— Dobrze nie powiem, chcesz jej pewnie zrobić niespodziankę?

— Nie, chce je zjeść.

ROZRYWKI UMYŚLOWE.

ROZWIĄZANIA Z NUMERU POPRZEDNIEGO: ARYTMOGRAF:



ARYTMETYKA SŁÓW:

1) Krawiec, 2) antykwariat, 3) mandarynka.

ZADANIE ALGEBRAICZNE.

Nadesłał Stasiek Eisenberg.

Pewien pan wyszedł z domu z zamiarem kupienia papierosów. Miał przy sobie złotówkę. W sklepie dowiedział się, że papierosy są w trzech gatunkach po 10, po 3 i po pół gr. Pan X kupił papierosów za całą złotówkę. Ile papierosów kupił z każdego gatunku?

SZARADA.

Pierwsze — drugie artysta filmowy.

Drugie — trzecie sprzęt domowy.

Pierwsze — drugie — trzecie w Ameryce znajdziecie.

DOBRE ROZWIĄZANIA ROZRYWEK UMYŚLOWYCH

NADESŁALI:

Fima Brodecki, Halina Eichel, Izio Frenkiel, Al. Mossakowski, Mosze z Nalewek, Leonard Szejnberg, Jakób Tykulski.

25 POCZTA.

Po raz pierwszy napisali do Małego Przeglądu:

Białek Tusia. — Bożekowska Lika. — Broner Lodzia. — Bryczkowski Maniek. — Chafskind Jadzja. — Choroszcz Mira. — Cwajer Leon. — Dorisman Jerzy. — Farbiarz Różyczka. — Flancman Małgorzata. — Glube Samson. — Górecki Zygmunt. — Henigman Sewek. — Janiszówna Manusia. — Kacew Paweł. — Kirsbaum Jakób. — Munwes Eljasz. — Szanland L. — Szwajcer M. — Wajnberg Emanuel. — Wiernik Fredzia. — Wychowanka Domu Sierot im. Szentfelda we Włocławku. — Żukowski Jasio.

Listów otrzymaliśmy 96.

26 POCZTA.

Poraz pierwszy napisali do Małego Przeglądu:

Abramowicz Lucio. — Ajgang Bala. — Alpersen Sewek. — Amdurski Izio. — Epsztejn Anatol. — Truskolaski Abram. — Grocher Jakób. — Grünman Jannina. — Hofman L. — Jabłońska Ewa. — Kiersztejn Sabka. — Lichtensztejn Samek. — Lipszyc Feluś. — Łapidus Motek. — Mechanik Masza. — Miński Lolek. — Oberman H. — Pinchonsen Jerzyk. — Popowski E. — Rautensztejn Pina. — Schepper Wolfuś. — Skurnik Mutek. — Zygielbaum Zygmunt.

Listów z Warszawy otrzymaliśmy 106, z prowincji 51, z zagranicy 1. — razem 158.

ZAGADNIENIE PRZYRODNICZE.

— Tatusz, popatrz — tam osa usiadła na pokrzywie.

— No więc co?

— No i teraz nie wiem, czy osa kłuje pokrzywę, czy pokrzywa parzy osę.